



Warszawa, 22 czerwca 2021 r.

Opinia Głównego Eksperta ZPP ds. Ekonomii Politycznej ws. demografii

Od kilkunastu już lat wiadomo, że Polsce grozi demograficzne tsunami. ZPP w związku z tym zabierał już niejednokrotnie głos. Dramatyczny spadek dzietności kobiet i towarzyszący temu (co oczywiste) dramatyczny spadek liczby urodzeń rozpoczął się jeszcze w ostatnich latach PRL i trwał przynajmniej do początku XXI wieku. Ten spadek i późniejsza stabilizacja liczby urodzeń sprawiła, że co rok rodzi się dziś niemal 2 razy mniej dzieci niż na początku lat 1980. i o 1/3 mniej niż u prognozy transformacji. Okres pandemii pokazał jak silnym czynnikiem wpływającym na decyzję o rodzicielstwie jest dziś kwestia poczucia pewności i bezpieczeństwa. Okres niepewności z początku pandemii przyniósł gwałtowny – choć zapewne okresowy – spadek urodzeń (ciekawe zresztą, czy kolejne fale pandemii albo okres zaprzęgnięcia sporów o aborcję do bieżącej politycznej kłótni też tak odbiją się na liczbie urodzeń jesienią tego roku).

Dodatkowo, poważne konsekwencje przyniosła wysoka fala migracyjna po akcesji do UE. Wprawdzie Polska niemal „od zawsze” jest regionem emigracyjnym, jednak ta ostatnia fala emigracji przyczyniła się do pogłębienia właśnie narastającego kryzysu urodzeń. W krótkim okresie została jednak przyjęta przez polityków z oddechem ulgi – rozwiązała napięcia na rynku pracy z początku XX wieku. W ten sposób jednak istotna część ostatniego tak licznego pokolenia Polaków zdecydowała się opuszczenie kraju na zawsze, a często również na rodzicielstwo za granicą.

Długo malejąca presja na rynek pracy, a także spadające obciążenie systemu edukacji postrzegane było w kategoriach zalet, a w każdym razie nie w kategoriach zagrożeń. Po problemach na rynku pracy znanych z lat 1990, Polska weszła w okres, kiedy jednocześnie korzystała z premii z integracji i premii demograficznej (którą tu rozumiem jako spadek współczynnika obciążenia demograficznego wynikający z malejących kohort dzieci i wciąż niewielkich kohort emerytów). Odływ emigrantów jeszcze pomógł, odciążając kolejny z kosztownych systemów państwa dobrobytu, mający na celu ochronę bezrobotnych. Wzrost gospodarczy napędzany był napływem europejskich funduszy rozwojowych i utrzymującym się relatywnie niskimi kosztami pracy. Jednak z upływem czasu premia demograficzna zaczęła tracić na znaczeniu, a koszty funkcjonowania państwa zaczęły rosnąć. Dziś jest ewidentne, że stoimy u progu głębokiego kryzysu demograficznego.

Warto jeszcze dodać, że faktyczny poziom dzietności jest w Polsce trudny do ustalenia – co zaskakuje, bo wiedza o tym, jaki naprawdę on jest, powinna być fundamentem nowoczesnej evidence based policy. W oficjalnych statystykach bowiem nie jest właściwie zarejestrowana wspomniana fala emigracji wokół-akcesyjnej. W rezultacie w kalkulacji ułamka, którym jest współczynnik dzietności TFR nie do końca dokładnie znamy dzielnik. Wiele kobiet w wieku 18-30 lat opuściło Polskę pomiędzy rokiem 2004 a 2011, większość zapewne nie wróciła. To generacja będąca determinująca wciąż poziom dzietności w Polsce. Współczynnik dzietności, w którym ignorowana jest nieobecność znaczącej grupy kobiet w Polsce jest z pewnością zaniżony, kto wie – o 5, 10 czy więcej procent (niezależne szacunki mieszczą się właśnie między 5 a 10%). Tak naprawdę więc rządzący (i my wszyscy) nie są w stanie porównać poziomu dzietności Polski i – powiedzmy – Węgier, Słowacji czy Austrii. Tylko w ogólnym zarysie wiemy jak wygląda sytuacja.

A sytuacja Polski nie jest wyjątkowa – spadek dzietności poniżej poziomów odtwarzania pokoleń to przypadłość całego rozwiniętego Zachodu, a Europy w szczególności. Przy czym niektóre państwa dopada ta przypadłość za wcześnie, a w każdym razie wcześniej niż rozwinięte państwa Zachodu. Zanim się wzbogacą wystarczająco i ustabilizują swój dobrobyt. Ostatnio tak mówi się o Chinach, ale Polska i Korea Południowa to równie dobre przykłady. Sukces gospodarczy przekłada się na spadek



dziatności, w miejsce premii demograficznej pojawiają się rosnące obciążenia ze strony rosnących kohort emerytów. Koszty pracy, rąk do której zaczyna brakować, rosną niezależnie od tego czy wzrasta jej produktywność (bo rynek pracy staje się jednoznacznie i bezwzględnie rynkiem pracownika). Jeśli zabraknie dobrych rozwiązań, kryzys demograficzny przełoży się na spadek podaży pracy (a właściwie już widać symptomy, o czym niżej) i – z dużym prawdopodobieństwem – utratę konkurencyjności, a w konsekwencji wyhamowanie wzrostu i procesów konwergencji gospodarczej z gospodarkami Zachodu. Można mieć nadzieję, że wzrost produktywności skompensuje spadek zasobów siły roboczej, ale to raczej złudna nadzieja.

Gospodarka już odczuwa już spadającą podaż pracy. Wprawdzie ministrowie z dumą raportują, iż przeszliśmy kryzys pandemiczny suchą nogą również w odniesieniu do bezrobocia. Ale sądzę, że bardzo niskie bezrobocie pod koniec głębokiego kryzysu to nie tyle zasługa wspaniałych programów pomocowych i antykryzysowych, co raczej poważny już dzwonek ostrzegawczy, że rosną problemy z podażą pracy. Dziś wspomniana, wciąż jeszcze niska produktywność w polskiej gospodarce kompensowana jest niskim poziomem wynagrodzeń i dostępnością (taniej) siły roboczej. Wygląda na to, że ten model gospodarki się kończy, ale niestety struktura gospodarki zmienia się wolniej niż struktura demograficzna. Wpłynął na to jeden nieoczekiwany czynnik.

W ostatnich latach polskiej gospodarce przyszli z pomocą Ukraińcy i Białorusini, szukający, jak my kilka lat wcześniej, lepszego życia i normalniejszego świata. Okazali się trochę niespodziewanym ratunkiem – dla pracodawców, dla gospodarki, dla wzrostu gospodarczego, a zatem pośrednio i dla rządu. Jednak, w przeciwieństwie do polityk wielu krajów Zachodu, trudno wskazać działania, które podejmowałby rząd w celu zachęcenia ich do pozostania. A przecież to imigranci bliscy nam kulturowo, potencjalnie łatwo integrujący się, kompetentni, wykształceni. Wielu mówi dobrze po polsku. O „lepszych” migrantów będzie w przyszłości trudno...

Od kilkunastu lat, odkąd coraz bardziej oczywiste stają się przyszłe konsekwencje narastających programów demograficznych, podejmowane są coraz bardziej śmiałe próby, by im zaradzić. Wprowadzono ulgi podatkowe dla rodziców czy kartę dużej rodziny. Ostatnią z tych prób jest projekt 500+, mechanizmu wsparcia finansowego osób posiadających dzieci, mającego być też bodźcem do decyzji o dziecku. Dość szybko jednak, nawet w oficjalnych wypowiedziach cel tego projektu zaczął ewoluować – i stał się on symbolem skutecznej (?) polityki społecznej PiS. Temat polityki demograficznej, czy też prorodzinnej wracał potem jeszcze kilka razy, jak choćby przy okazji poszerzenia programu 500+ na pierwsze dziecko. Do tej pory, niezależnie od oficjalnej propagandy dały one umiarkowane efekty. Wzrost liczby urodzeń po wprowadzeniu 500+ z dzisiejszej perspektywy należy interpretować jako efekt przyspieszenia decyzji o dziecku, a w niewielkim tylko stopniu jako faktyczny wzrost liczby urodzeń. Żeby jednak poznać faktyczne skutki programu i obecny poziom dzietności, potrzebne by było ustalenie rzeczywistej liczby kobiet w wieku rozrodczym – miejmy nadzieję, że pomoże w tym Spis Powszechny (a jeśli nie pomoże, to po cóż on w ogóle jest?).

I w tym kontekście dopiero trzeba spojrzeć na nowe pomysły polityki demograficznej w Polskim Ładzie. Niestety, sprowadzają się one często do obietnic dotyczących polityki prorodzinnej, tyleż niedomyślnych, co często w obecnej sytuacji na rynku pracy zbędnych lub grubo spóźnionych (jak bodźce do tworzenia żłobków w każdej gminie). Zasadniczo jednak uzupełnione mają zostać bodźce finansowe (kapitał opiekuńczy) i dodanych kilka przywilejów, odnośnie których rodzi się pytanie, czemu dedykowanych tylko rodzinom z dziećmi. Może też zwaloryzowana będzie kwota 500+.

Do tej pory podobne instrumenty działały słabo (choć nikt przecież nie ma zamiaru na serio prowadzić evidence based policy i sprawdzać, które instrumenty są skuteczne, a potem takie wspierać). Może zatem trzeba aktywniej szukać lepszych rozwiązań? Co ciekawe politycy dostrzegają niską skuteczność obecnej polityki i przyjmują do wiadomości, z pewną dozą obojętności czy melancholii.

Jeśli chcemy, by „złoty wiek” rozwoju Polski trwał kolejne lata i dekady (a to obiecują politycy PiS), to potrzebna jest skuteczna polityka prorodzinna. A oprócz kosztownych, lecz ważnych i potrzebnych (o ile tylko zostaną właściwie zaprojektowane) programów polityki demograficznej potrzebna jest też przemyślana polityka emigracyjna. W odniesieniu do tej sfery w Nowym Ładzie pojawiły się dwie obietnice. Jedna pusta i pozbawiona treści, że Polska stanie się krajem atrakcyjnym dla specjalistów, dzięki rządowym mechanizmom wsparcia. A ci specjaliści będą płacić w Polsce podatki, nie dlatego, że będzie to atrakcyjne finansowo, ale dlatego, że będziemy oferować lepszą jakość życia, warunki do integracji i bezpieczeństwo. Obecny poziom wynagrodzeń w Polsce, jakość instytucji publicznych (w porównaniu z sąsiadami z Zachodu), a niejednokrotnie i sposób prowadzenia polityki wewnętrznej i międzynarodowej nie dodaje wiarygodności tym słowom. Zwłaszcza jeśli uzupełnić to drugim pomysłem z Nowego Ładu – ulgą podatkową dla wracających emigrantów (to też pewnie nadmiernych skutków nie da). Zatem z ich perspektywy powroty trzeba uatrakcyjnić, jakże zatem się spodziewać, że ten sam ład prawny i podatkowy będzie atrakcyjny dla imigrantów?

Wiele powiedziano słów krytyki o obecnym „układzie rządzącym”. Nie ze wszystkimi się zgadzam. Jednak jednym z największych ich grzechów będą zaniedbania w polityce rodzinnej, demograficznej i migracyjnej – bo mogą one (oby nie) zaciążyć na następnych dekadach rozwoju Polski.

dr hab. Piotr Koryś
Główny Ekspert ZPP ds. Ekonomii Politycznej